№ 17.

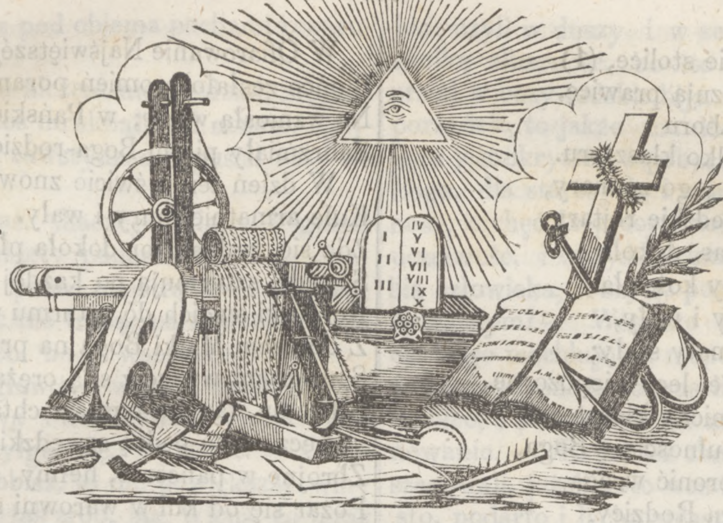
Warszawa.

Dnia 15 (27) Kwietnia

1856.

Niedziela

5 PO WIELKIEJ NOCY.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaśjuż prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaw. płaci tylko rsr. 2 rocznie

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty á Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! od którego wszelkie dobro pochodzi, daj nam sługom Twoim, abyśmy o rzeczach świętych myśleli, a za Twą pomocą, oneż wypełniali. (Modlitwa kościelna na niedzielę 5 po Wielkiéj nocy).

Wniebowstąpienie Pańskie.

Wniebowstąpienie jestto uroczystość, podczas któréj obchodzi się pamiątka przeniesienia się Jezusa Chrystusa z ziemi do nieba. Dlatego w tym dniu po Ewangelii we Mszy Ś., dla oznaczenia odejścia Chrystusa z ziemi do nieba, chowa się zgaszony Paschał (to jest świeca duża), krzyż stułą czerwoną przepasany, i figura Chrystusa Zmartwychwstałego. Uroczystość Wniebowstąpienia obchodzi się zawsze we czwartek, szóstego tygodnia, czyli dnia czterdziestego po Wielkiéjnocy, ponieważ w tym dniu Jezus Chrystus, jak świadczy Ewangelia i Dzieje Apostolskie, zebrał uczniów swoich do Jerozolimy, dał im ostatnią pożegnalną naukę; potém prowadził ich do Betanii na górę Oliwną, zkąd błogosławiąc uczniów, mocą swoją wzniósł się do nieba. Wtedy wszyscy przytomni podniósłszy oczy w górę, z wielkiem zadziwieniem patrzyli, dopóki jasny obłok nie zakrył Chrystusa przed nimi, a dwaj Aniołowie pokazawszy się w białych sukniach, pocieszyli ich, że Chrystus tak kiedyś znowu na ziemię przyjdzie, jak Go teraz odchodzącego widzieli.

Podczas uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego, przede mszą odbywa się processya ze stacyami, która wyraża: 1. Tryumf Jezusa Chrystusa wstępującego do nieba.—2. Uczniów idących za Chrystusem na górę Oliwną, oddających Mu pokłon i polecających się Jego opiece, gdy wstępował do nieba, śpiewy, podczas téj processyi są do tego zastosowane, przez które Kościół chce obudzić w wiernych takie uczucia, jakiemi przejęci byli Apostołowie, gdy na Jezusa Chrystusa do nieba wstępującego patrzyli.

Przeor Kordecki.

(W obronie Częstochowy).

Lat temu dwieście, Prawica Boża
Zesłała na nas Szwedów z za morza.
Znać, że Opatrzność wyroki swemi
Często tak grzechy karze na ziemi.
Już Jan Kazimierz na Szląskiéj ziemi
Tułać się musiał między swojémi,

Już liczne grody, obie stolice, (1)
Króla Szwedzkiego czują prawicę,
A do całego ziemi zaboru
Brak mu jednego tylko klasztoru.
Więc, aby spełnić jego zamiary,
Pod Jasną Górę szwedzkie rejtary
Zwożą armaty; jak las, dokoła
Zalegli Szwedzi stopy kościoła.
Małe te jego mury i wały,
Na nich nieliczne armaty stały;
Miejsce dość wzniosłe, lecz niepozorne,
Szczupła załoga—mnichy klasztorne
I garstka szlachty z ufnością w Boga,
Chcą, od licznego obronić wroga
Klasztor i obraz Boga Rodzicy,
Która łaskami w całéj ziemicy
Od wieków słynie.
Mury kościoła
Widząc wódz szwedzki, z uśmiechem woła:
„Istna zabawka! to na śniadanie
„Taka warownia ledwo mi stanie."
Wabiony skarbem znacznym klasztoru,
Żądał poddania się bez oporu,
Mówiąc, że wszystkie miasta, kraj cały,
Jego królowi już się poddały.
Ale dowódzca szczupłéj załogi,
Przeor Kordecki, nie doznał trwogi:
„Boga się boim, was nie lękamy,
„Waszego, rzecze, szturmu czekamy,
„W obronie świętéj wiary i tronu
„Walczyć będziemy mężnie do zgonu!"

* * *

Huk armat zagrzmiał pod Jasną Górą,
Klasztor się dymu osłonił chmurą,
Zadrżała ziemia; szczupła załoga
Z ufnością w Boga odpiéra wroga,
Bo ją Kordecki sam na bój wiedzie
Z obrazem Matki Boga na przedzie.
W trzy godzin Szwedzi zbici wracają;
Zwycięzcy hymny Panu śpiewają.

Müller, wódz szwedzki, klnie się na duszę:
„Ten kurnik, woła, zgruchotać muszę,
„Przysięgam! harde klasztorne dziady
„Nie ujdą tutaj swojéj zagłady!"
Sciąga armaty i pełen dumy
Szykuje nowe do szturmu tłumy.

* * *

(1) Kraków i Warszawa.

W Ofiarowanie Najświętszéj Panny
Słońce zesłało promień poranny
Na wzniosłą wieżę; w Pańskiéj świątnicy
Zabrzmiały pieśni Boga-rodzicy.
W dzień ten o świcie znowu szarpały
Kule armatnie mury i wały.
Zda się, że klasztor dokoła płonie;
Szwedzi szturmują po każdéj stronie;
Kordecki swoich do szturmu wiedzie
Z obrazem Matki Boga na przedzie.
Sam gromi wrogów siłą oręża,
Gdzie on, tam za nim szlachta i księża.
Lecz nowe pędzą szwedzkie żołdaki
Zbrojne w pancerze, hełmy, szyszaki;
Pożar się od kul w warowni szerzy.
Wtém jakaś jasność od Nieba spływa,
W niéj się przecudny widok odkrywa:
Najświętsza Panna staje w obronie,
Chóry Aniołów wieńczą Jéj skronie,
Płaszczem gwiaździstym klasztor okrywa,
Załoga, klęcząc, hymny Jéj śpiewa:
„Bądź pozdrowiona Gwiazdo zaranna!"
I cud sprawiła Najświętsza Panna:
Kule odbite o mur, wracają
Na szwedzkie hufce, śmierć im zadają.
Szwed już napróżno ponawia szturmy,
Brzmią do odwrotu chrapliwe surmy (2),
W klasztorze biją dziękczynne dzwony.
Przez dni czterdzieści wódz rozjątrzony
Oblegał klasztor; mąż pełen chwały,
Kordecki, czuwał, naprawiał wały;
Szwed wznawiał szturmy, lecz trudne rzeczy,
Walczyć z tym, kogo Bóg ma w swéj pieczy.
Naród przykładem nielicznych księży
Zawstydzon, ocknął, dobył oręży,
Poznał, co może ufność w moc Boga,
I wnet za morze wygonił wroga.

Pogadanki starego rzemieślnika.

Jednéj niedzieli w lecie, kiedy mieliśmy zasiąść do obiadu, i oczekując na przybycie majstrów, staliśmy w jednym rzędzie, tojest ja i trzej nasi terminatorowie, Wicuś, Jędruś i Maciuś, majster przybliżył się ku nam, i bystro po każdym poglądając, rzekł:

—„Dzieci, baczność, uwaga!— Wicuś, dla-

(2) Trąby wojenne.

czego surdut masz pod obiema pachami rozpruty?

Wicuś jakby o niczem nie wiedział, sięgnął ręką pod pachę, coś mruknął pod nosem, spojrzał na majstra, i zawstydzony spuścił oczy ku ziemi.

—„A ty Mądruś, dlaczego klapy i guziki poobrywane, mankiety podarte, hę?

—„To proszę pana majstra“— odpowiedział Jędruś, nic nie tracąc na fantazyi— „ja temu nic nie winien, bo to wszystko......!“

—„Z psich figlów“— wtrącił majster groźnie— „z łotrostwa i dokazywania.— A zaraz ze wszystkiego wyłgać się, wykręcić.— Chłopaku, kiedy źle robisz, to nie powiększaj winy kłamstwem, tylko tak zrób, jak Wicuś, co teraz stoi jak trusiątko, co niejedenby myślał, że to biedactwo i trzech zliczyć nie umie; więc choć ustami milczy, ale milczeniem tem powiada: „zgrzeszyłem panie majstrze, i szczerze tego żałuję, wstydzę się i nie śmiem na nikogo spojrzeć, bo wyglądam jak cygan; —przebacz, przebacz panie majstrze, poprawię się, i nigdy takim nie będę.“— Wszak prawda Wicusiu?

—„Prawda — prawda, proszę pana majstra“ — odrzekł Wicuś, i chciał go w rękę pocałować, ale majster zawołał: — :stać w miejscu!— nie występować z szeregu!“

Chłopcy na te słowa poprostowali się, pospuszczali ręce, spojrzeli majstrowi oko w oko, bo już tak byli do tego przyzwyczajeni, a majster przybliżył się do trzeciego chłopca Maciusia, zaczął go obracać na wszystkie strony, i mówił, potrząsając głową:

—„Oj chłopcze, chłopcze, jak ty wyglądasz?— Surducina poplamiony, popruty, poobrywany z guzików, nieoczyszczony, pełen pyłu i nieczystości.— Chustczyna owiązana jak stryczek na wisielcu, jeden kołnierzyk schowany, drugi po uszy wyciągnięty— czupryna rozczochrana, twarz nieumyta, że czysto wyglądasz, jak strach na wróble.—Fe! dzieci, brzydko, nieładnie, ot! tylko mi wstyd przynosicie, bo każdy powie, spojrzawszy na was, *że jaki kram, taki pan*, czyli, że kiedy wy terminatorowie tacy niechluje, to i czeladź taka sama, i majster z majstrową pewno nie lepsi.

Pamiętajcie, że starzy polacy, poczciwi nasi przodkowie, mawiali: *jak cię widzą, tak cię piszą*, czyli jakim jesteś z wierzchu, czyli z ciała i z porządku około onego, takim jesteś w środku siebie, czyli w duszy i w sercu. — I mieli w tém wielką słuszność, bo kto nie dba o to, co naprzód w oczy ludzkie bije, to jest o czystość, lub porządek, to jakże ma dbać o to, co wewnątrz jego jest ukrytem, o pobożność i wdzięczność dla Boga, dla starszych i nauczycieli— o skromność, o chęć do pracy i nauki— o moralność, o uczciwość, i wszystkie inne przymioty, co zdobią człowieka, robią go poczciwym, zacnym i użytecznym?— Wszakże wy sami jak zobaczycie kogo niechlujnie i nieporządnie ubranego, to powiecie zaraz, że to musi być jakiś nicpoń, oberwaniec, i pewno mu nie zrobicie żadnego uszanowania.— To jakżeż chcecie, żeby was ludzie szanowali, jeżeli koło was zawsze będzie nieczysto, podarto i łachmaniasto? — prawda?

—„Prawda, proszę pana majstra“— odrzekli chłopcy, a Jędruś zapytał.

—„A dlaczego to Sebastyana, tego staruszka, co tu mieszka w oficynie z łaski gospodarza, i tak zawsze koło niego i chudo i biedno, a pan majster i pani majstrowa szanuje i powiadają, że to bardzo poczciwy człowiek?— Przecieć on z ubrania strasznie chudo wygląda.“

—„Moje dzieci! Bóg różnie ludzi doświadcza, i często z różnych powodów, niezależnych od człowieka, zsyła na starość biedę i niedostatek. W takich razach, mimo ubogiego ubrania, powinniście takich biedaków szanować, aby tylko byli poczciwemi i dobremi ludźmi. Staruszek Sebastjan jest takim; przez różne nieszczęścia przyszedł do ubóstwa, a jednak mimo tego, nie słyszeliście, żeby kto co o nim złego powiedział. Chodzi sobie do kościoła, szczerze się modli, każdemu, o ile może, wszystko zrobi, o co go kto prosi, i żyje ze wsparcia dobroczynności i różnych panów, którzy wiedzą, że jest poczciwym i dobrym człowiekiem. Zresztą, moje dzieci, nie idzie tu wcale o bogate i paradne ubranie, bo na takie nie stać każdego, ale o czystość i porządek, a u Sebastyana choć biedne ubranie, ale czyste, niezakurzone, każde poprucie lub podarcie, zaszyte, nigdzie żadnéj strzępki, żadnego łachmana, wszystkie guziki w swojém miejscu, buty choć łata na łacie, ale oczyszczone, tak, że każdy moje dzieci, kto spojrzy na niego, to powie z litością, a nie z szyderstwem: biedny, ale widać jakiś poczciwy starowina, bo patrzcie, jak w ubraniu jego znać czystość, porządek i staranność.— Prawda?“

—„Prawda, proszę pana majstra“— odpowiedzieli chłopcy, a Jędruś znowu odezwał się:

—„No, to już mi nie idzie o Sebastyana, bo koło niego i czysto i cało, ale proszę pana majstra, żebraki te, baby i dziady, co siedzą pod kościołem, albo włóczą się po kamienicach i ulicy, ileż to na nich łachmanów i dziur! to aż strach, że aż niemi małe dzieci straszą.— A jednak pan majster, ani pani majstrowa, jak taki dziadek przyjdzie po żebraninie, nie powie im z gniewem: — „idź precz hultaju, nicponiu! —tylko albo go opatrzy groszem, albo grzecznie powie—„niech Pan Bóg opatrzy, przyjdziecie dziadku innym razem. A przecieć podług tego, jak pan majster powiedział, to z ubrania powinni być bardzo źli ludzie.“

—„Moje dzieci, być żebrakiem, i żyć z tego tylko, co człowiek uprosi, wielka to jest kara Boża. Nad człowiekiem więc takim, co go Bóg tak ukarał, powinniśmy zawsze mieć litość w sercu, a w ustach poczciwe słowo.— Jak taki wygląda, czy brudno, czy czysto, czy podarto, czy cało, czy żebrakiem jest z własnéj winy, czy z dopuszczenia Bożego—czy on tam zły, czy dobry, to nie powinniśmy w to wchodzić, ale jak tylko prosi w imie litości chrześcjańskiéj, to kto nie może wesprzeć datkiem, niechże chociaż obdarzy poczciwém słowem, a sąd nad takiemi ludźmi zostawmy samemu Bogu, bo nasz rozum za słaby, żebyśmy ich sądzić mieli.— Dlatego żebrakami nie gardźcie, choć łachmaniasto i nieporządnie ubrani, ale litujcie się, i uważajcie ich za bliźnich braci swoich.“— Powiedziawszy to majster, obrócił się i parę kroków postąpił po izbie, ale w téj saméj chwili, jak tylko chłopcy zostali za plecami majstrowemi, Wicuś nachylił się, sięgnął ręką poza Jędrusiem, pociągnął Maciusia z tyłu za włosy, że ten aż zachwiał się, krzyknął, chwycił ręką za głowę, a Wicuś w tym samym momencie już miał rękę przy sobie, tak, że nie widząc, niktby się nie domyślił, że to przez jego figiel, czupryna Maciusiowa ucierpiała.—Maciuś stojąc gapiowato, nic tego wszystkiego nie widział, tylko uczuł jak go dobrze zabolało. a mając przy sobie Jędrusia, pewny był że to jego sprawka, bo miarkując po sobie, nigdy nie przypuszczał, żeby Wicuś mógł się tak zgrabnie uwinąć, stojąc ze trzy kroki od niego. Krzyknąwszy z bólu, zwrócił się do Jędrusia, i rzekł głośno, krzywiąc się jak nieszczęście:

—„No—ty!—czego mnie targasz za włosy?

—„Kto—ja?—dajże mi święty pokój“— odpowiedział Jędruś, gdy Wicuś stał jak trusia“ —„a tobie co w głowie.“

—„Ale? w głowie— niby ja nie czułem.“

—„A to co takiego?“— zapytał się majster, zwracając do winowajców, marszcząc brwi, i muskając na dół wąsa— „Jędruś! dlaczego targasz Maciusia za włosy?

—„Ja, proszę pana majstra“— odrzekł Jędruś śmiało—„ani go się dotknąłem, ani nie pomyślałem nawet, żeby go szarpnąć...

—„Ale!—niby ja nie żywy“—rzekł pół z płaczem Maciuś—„niby ja nie czułem...“

—„Gadaj zaraz Jędruś“— fuknął z gniewem majster—„dlaczego go szarpnąłeś?

—„Ale jak matkę kocham, jak pana majstra kocham, tak się go ani dotknąłem.— Jemu się widać śniło proszę pana majstra, bo on i stojący spać umie, że go ktoś z tyłu pociągnął za włosy, i jak przebudził się, tak zaraz na mnie; —widzisz go!

—„Ale śniło?“—odrzekł Maciuś, i obracając się w drugą stronę, gdzie nikogo nie było — mówił daléj—„przecieć tu nikogo nie ma po tej stronie, to któżby mnie inny za włosy pociągnął, że aż mi świrczki w oczach stanęły, jak nie ty?

Kiedy Maciuś mówił, odwracając się od nas majster, spojrzał na Wicusia, ten mrugnął raz po raz coś ze sześć razy oczami, pociągnął nosem, potem spuścił oczy, zaczął je trzeć ręką, jakby płakać miał ochotę, a majster pogroziwszy mu na nosie, odezwał się, zwracając ku Maciusiowi:

—„Mój Maciusiu, wielki z ciebie gamoń, i tak całe życie będą cię ludzie krzywdzić, dokuczać, a ty nigdy nie poradzisz sam sobie.— Oskarżyłeś Jędrusia, a niesprawiedliwie, bo ja za nim ręczę, że ci tego nie zrobił...

—„To chyba Wicuś.“

—„A któżby jak nie Wicuś“ odrzekł majster—„ ale że przez gapiostwo sam tego nie odgadłeś, więc cię nie przeprosi ten zbereźnik, bo ja gapiów strasznie nie lubię, tylko mnie, że w mojéj i pana Pawła obecności figle siedzą mu w głowie, nadto przeprosi Jędrusia że go za niego posądzono.—Wicuś! marsz do przeprosin, a jak kiedykolwiek coś podobnego odważysz się zrobić, to pamiętaj, że ze mną nie ma żartu.“

Wicuś, z zakrytą twarzą ucałował naprzód

rękę majstrowi, potem mnie, a następnie ucałował Jędrusia po twarzy. Maciuś przez ten czas stał na środku z głową spuszczoną, wycierając kułakami oczy, i w częstym oddechu poruszając piersiami, niby przysposabiając się do płaczu. — Smiesznie było spojrzeć na niego, bo przy całém swém niepocieszném ubraniu, przy niezgrabnéj figurze, stojącéj jak klocek na dwóch rozkraczonych nogach, tak się dziwnie krzywił, że ja sam, o mało się nie udusiłem od śmiechu, a chłopcy gdyby nie bojaźń i uszanowanie dla majstra, to pewno głośnoby parsknęli.— Kiedy się przeprosiny skończyły, Maciuś ze wstydu i żalu rozbeczał się w głos, i łkając mówił.

—„O! mój Boże!—już ja najgorszy ze wszystkich— wszyscy na mnie, nawet pan majster, to mi się już życie przykrzy.“

—„Cicho chłopcze— rzekł majster poważnie — lepiéj że teraz za swoje gapiostwo cierpisz za młodu, jak w późniejszych latach, bo może będziesz się starał, żebyś takim nie był.— Młody bowiem każdy, powinien być żywym, wesołym, bacznym, z okiem wszędzie zwróconém, do wszystkiego chętnym i ciekawym, wszystko poznać i widzieć, bo wszystko jest dla niego nowością.— A jeżeli ty dzisiaj przez lenistwo, niezdarstwo i opuszczenie, nie wiesz nawet, kto cię za czuprynę pociągnął, to w starszym wieku będą cię policzkować i ty nie dojdziesz, kto cię uderzył.

—„A proszę pana majstra“— odezwał się Maciuś— „cóż ja temu winien, że mnie takim Pan Bóg stworzył?

—„Prawda mój Maciusiu, że wszystko od Boga pochodzi, ale powiedz mi, znasz ty te dwa konie naszego piekarza, tęgie, zdrowe, tłuste jak cabany, a silne, że zdaje się, iżby całą naszą kamienicę z miejsca ruszyły?

—„Jużcić znam, proszę pana majstra.“

—„Prawda, jakie to leniuchy, jak się to ociągają, kiedy ich ze stajni do roboty wyprowadzają, jak potém w wozie ledwo nogi podnoszą, a łbami zawsze ku ziemi, jakby im nie chciało się dźwigać ich na szyi—prawda?

—„Jużcić prawda, — odrzekł nieśmiało Maciuś, czując widać, że troszkę do tych koni podobny.

—„To powiedz mi, co parobek robi, żeby ich przynaglić do szybszego biegu?

—„Bije ich biczem“— cieniutkim głosem odpowiedział Maciuś.

—„Więc, widzisz każdy leniwy i niechętny, jak ty Maciusiu, to jest zupełnie podobny tym koniom. Ale widzisz koń, to nie człowiek, i choćbyś koniowi gadał, nadgadał: mój koniu, jesteś leniwy, jesteś niechętny do pracy, popraw się, bo to niełádnie, to koń tego nie zrozumie, więc go trzeba bić, czyli popędzać do roboty. Człowiek zaś, zrozumie wszystko, co się do niego mówi, a kiedy koń za uderzeniem bicza zaraz robi się skorszym i chętniejszym, chociaż go Pan Bóg leniwym stworzył, to i człowiek za słowami powiedzianemi do rozumu, powinien się zrobić żwawszym, ruchliwszym, ochoczym do wszystkiego, chociaż się urodził gamoniem, leniwym i ospałym, bo czém dla konia bicz, tém dla człowieka poczciwa mowa. Zresztą koń, jako bydlę, nic nie myśli, nie rozważa, niema ani wstydu, ani pamięci, a człowiek i myśli i rozważa, wstydzić się umie i pamięta.....“

—„To proszę pana majstra“—przerwał Jędruś—„konie piekarzowe muszą być chyba jakiegoś innego gatunku, bo co do pamięci, to i Maciuś nie ma od nich lepszéj.“

—„Straszneś mądry“—mruknął Maciuś.

—„A z czegoż to tak sądzisz?

—„A bo, proszę pana majstra, jak przyjdzie południe, to konie chociaż stoją w wozie, a Maciuś siedzi przy robocie, to konie łbami do stajni, a Maciuś głową do kuchni, ciągle się obracają,— a jak konie wyprzęgną i parobek zawoła— héj! koniki do obroczku, a pani majstrowa zawoła do obiadu, to konie nie wyjdą na ulicę, a Maciuś do łóżka lub pod piec, ale konie do żłobu, a Maciuś do stołu, tak lecą, jakby je kto gonił. To jakże, proszę pana majstra, czyż konie nie pamiętają tak jak Maciuś, że to idzie o jedzenie? czyż nie rozumieją, co do nich mówi parobek, tak jak Maciuś, kiedy woła pani majstrowa, gdy....

—„I żebyś to ty Mądrusiu“— przerwał majster—„wszystko rozumiał i pamiętał, co ja mówię, to byłoby lepiéj, jak pamiętanie tego, co mówi parobek do koni...“

—„Bo jemu się zdaje, przerwał Maciuś—że on już coś najlepszego...“

—„Przecie mnie w kamienicy nie nazywają niedojdą, a ciebie......“

—„To ty mnie tak przezwałeś......

—„Albo to prawda“?

—„Ty—ty“ z pół płaczem mówił Maciuś, i byłaby sprzeczka coraz żwawszą się stawała, ale majster stuknął nogą, i krzyknąwszy

„milczeć dzieciuchy!“— pokręcił na dół wąsa, co zawsze u niego gniew znaczyło, i dopiero po chwili mówił daléj:

—„Morusy, brudasy, oberwańcy! kłócicie się jak co najlepszego, do tego w mojéj obecności?— Marsz! do kuchni, umyć się, oczyścić, pozaszywać dziury, bo ja z chłopcami tak nieporządnie i niedbale ubranemi wstydziłbym się przy jednym stole dary Boże pożywać.

Chłopcy jak niepyszni wymknęli się z izby i pomyci, poczesani zasiedli do stołu; ale siedzieli jak mruczki, bo Wicuś bał się podnieść rąk do góry, żeby mu pod pachami dziur nie zobaczono, Jędruś nie wyrwał się nawet z jednem słowem, co się tak lękał zwrócić oczy cudze na swoje podarte klapy i mankiety, a Maciuś, myślałem, że się pod stół schowa, co się tak wstydził i rumienił za swoje plamy w ubraniu, i że może pierwszy raz w życiu i chustkę starannie miał na szyi zawiązaną, i twarz tak dobrze wymytą i włosy wyczesane.— Po obiedzie i odmówieniu dziękczynnéj modlitwy za pokarm, który spożyliśmy, bo majster uczył nas—„ dzieci, zawsze pamiętajcie być z Bogiem, bo kto z Bogiem, to Bóg z nim“— chłopcy z uszanowaniem ucałowali ręce obojgu majstrostwu, uszykowali się rzędem niedaleko pieca.

Majster przechodząc się po izbie, spojrzał parę razy po chłopcach, co stali jak niewinne trusiątka, i po chwili rzekł do nich:

—„Widzicie chłopcy! jak to za wasz nieporządek i niedbałość w ubraniu, wstyd Wicusiowi przybił ręce do bioder jak gwoździami, Jędrusiowi jakby zamknął usta na kłódkę, a Maciusia ledwo nie spali; co mu tak dziwno być dobrze umytym i wyczesanym.— Pamiętajcież więc chłopcy, żebym ostatni raz widział was tak niechlujnie i nieporządnie ubranemi, siadającemi do stołu, bo to nietylko szkodzi zdrowiu, temu najdroższemu skarbowi człowieka, ale dowodzi nieuszanowania dla nas, waszych majstrów, których powinniście kochać, jakwaszych rodziców— dla pana Pawła, co jest waszym zwierzchnikiem— i dla samego pokarmu, który jest darem Bożym, i który z miłosierdzia Jego codziennie odbieramy.— Jakże chłopcy, poprawicie się?— Zawsze starać się będziecie, być czysto i starannie ubranemi, jak to mawiali starzy polacy, nasi poczciwi przodkowie: ubogo, lecz chędogo?— Przyrzekacie?“

—„Przyrzekamy, proszę pana majstra, przyrzekamy“-odpowiedzieli jednozgodnie chłopcy.“

—„Wierzę wam, bo chociaż każdy zbłądzić może, jako człowiek; ale tylko człowiek, jako obdarzony rozumem i wolą, poprawić się jest zdolny.— Wy zaś nie głupie macie główki, jesteście zuchy, dzielne chłopaki, kocham was jak własne dzieci, i dlatego was uczę i łaję, żebyście się kiedyś stali porządnymi i uczciwymi ludźmi. Dziś choć to święto i moglibyście się z nami przejść gdzie za miasto, np. na Saską kępę, ale jesteście winni, na karę zasłużyliście, pozwalam tylko zabawić się w domu; skoro poprawę będę widział, to i kara ustanie.

Węże.

Zwierzęta, u nas pod nazwiskiem węźów znane, należą do gromady gadów. Łatwo je rozpoznać od innych żyjących stworzeń, po ciele długiém, wysmukłem, bez nóg. Przenoszą się więc pełzaniem z jednego miejsca na drugie. Ciało wężów okryte jest zwykle łuskami, szczęki wraz z gardzielą rozszerzać się mogą, i to jest przyczyną, że węże połykają grubsze od siebie zwierzęta. Język, który węże z pyska wysuwają, jest rozdwojony na końcu i służy im do macania rzeczy. Nie jest on, jak pospolicie utrzymują ludzie, *żądłem*, którém węże jad zapuszczają. Jad wężów mieści się w zębach, które pod względem jadu są jadowite i niejadowite. Zęby jadowite, umieszczone są w szczęce górnéj, po dwa lub więcéj, są od innych większe i szczególne mają urządzenie. Pod każdym jadowitym zębem leży pęcherzyk napełniony trucizną, a ta wydziela się z gruczołu, w tyle głowy będącego. Każdy ząb jadowity jest wśrodku wydrążony, i kończy się otworem; kiedy wąż jadowity kąsa, ząb przyciska pęcherzyk, ten sączy truciznę przez środek zęba, i ta dostaje się w ranę przez ząb zrobioną; tu dopiero trucizna zmięszana z krwią sprawia zapalenie, puchlinę i niekiedy niebezpieczne skutki. Jad wężów jest przezroczysty, koloru żółtego, bez smaku, wewnątrz do żołądka użyty, byle tylko usta nie były skaleczone, bynajmniéj nie szkodzi. Widzimy zatém, że węże jadowite głównie zębami swemi niebezpieczne rany zadawać mogą, jeżeli więc wyrwiemy im owe zęby, odejmiemy im całą szkodliwość. Mięso wężów na-

wet jadowitych nie jest szkodliwe, i dzicy ludzie nawet za przysmaczek je uważają.

Lubo węże szkodliwe głównie po zębach się rozróżniają, są jednak i powierzchowne znaki, po których je rozpoznać możemy, a szczególniéj u nas żyjące, właściwe węże i źmije, z których pierwsze wcale są nieszkodliwe, żmije zaś bardzo są niebezpieczne. Jadowite węże, a u nas źmije, mają głowę spłaszczoną, w tyle rozszerzoną; paszcz szeroką, kolory skóry brudne, jednostajne, ogon tępo zakończony.

Węże żyją na całéj ziemi, głównie wszakże w krajach gorących i umiarkowanych, nie ma ich wcale w okolicach, gdzie mocne są mrozy. W Europie niema tak strasznych co do wielkości wężów, ale są niektóre bardzo jadowite, i te zowią się zmijami. Pokazują się one tylko pod czas lata, w jesieni chowają się do kryjówek w ziemi, i tam przez zimę zasypiają. Na wiosnę się budzą, a wtenczas czochając ciałem swém o różne rzeczy, zrzucają skórę, czyli się lenią.

Ponieważ w naszym kraju niewiele się znajduje gadów, a z tych, co u nas żyją, jedne są bardzo niebezpieczne, przytoczymy więc szczegółowe o nich wiadomości, dla odróżnienia ich od siebie, i sprostowania niektórych przesądów, jakie między ludem są upowszechnione. Żyją więc u nas właściwe węże i źmije, te ostatnie są tylko jadowite.

Wąż pospolity u nas zwykle *wodnym wężem* zwany, jest gadem szybkim, zwinnym, drobne tylko pożera zwierzęta, i dlatego jest pożytecznym; pływa dobrze, a niekiedy włazi na drzewa. Żyje w ogólności w okolicach bagnistych, niekiedy w wielkiéj liczbie, jak to w okolicy Warszawy, za przedmieściem Pragą widzieć można, gdzie węże są tak częste i rzec można oswojone, iż przychodzą do domów, przysuwają się do jadła, a szczególniéj do miski z mlekiem, i to wraz z dziećmi wiejskiemi pożywają. Znają to dzieci wieśniaków, że te węże nie są szkodliwe, i dlatego pozwalają im spożywać razem z sobą dary Boże, a lubo je czasem odstraszają uderzeniem łyżką, węże przecież znoszą to cierpliwie, i znowu do mleka wracają. Samce wężów niewiele się różnią kolorem od samic, mają tylko w tyle głowy żółtą plamę, z wierzchu są błękitnawe, zielonawe, siwo lub czarno-brunatne, a na spodzie biało i czarno pstrokate są mniejsze od samic, które do 4 stóp, czyli 2 łokci dorastają. Węże zjadają myszy, żaby, krety, młode ptaszki, jaszczurki, rybki, owady i robaki, rzadko kąsają ludzi, a ich rana lubo jest krwawa, prędko się wszakże goi. W niektórych okolicach jedzą ich mięso, które ma tak smakować, jak węgorz; skórką wężów obciągają laski, a tłustości używają jako lekarstwa na rany.

Oprócz poprzedzającego węża, żyje u nas tak zwany *Padalec kruchy*. Jestto wężyk na pół łokcia długi, z wierzchu czerwonawy, pod spodem czarniawy. Najwięcéj przebywa w zaroślach, krzakach, rozwalinach murów; jest zupełnie nieszkodliwy. Uchwyciwszy tego węża za ogon, wypręża się, albo się rozsypuje w kawałki; za najmniejszem też uderzeniem rószczką ciało ich się rozpada, i ztąd poszło nazwisko w języku polskim *Padalec*. Ułamane ciało przy ogonie, łatwo odrasta. Młode wylęgają się żywe. Sprostować tu należy mniemanie ludu, który posądza najniesłuszniéj padalca o taką jadowitość, że w tych miejscach ciała ludzkiego, które krwią padalca zbroczone zostaną, skóra ustawicznie się rozpada czyli pęka, i otwiera coraz nowe, a nigdy niegojące się rany. Jadowita żmija, któréj u nas kilka się przytrafia gatunków, zasługuje na szczegółowé tu opisanie.

Najpospolitszą w Polsce jest źmija *ruda*, odznacza się wierzchem ciała czerwonawo-rudym lub rudo-popielatym; na środku grzbietu wązka, prosta, czarna smuga. Na środku głowy ma trzy duże łuski, otoczone drobnemi. Maść téj żmii jest zmienną, w jednych okolicach jest ciemniejszą, niż w drugich, ale ciemno-brunatna smuga na grzbiecie daje ją poznać na pierwszy rzut oka. Ta źmija przebywa w lasach sosnowych, na wzgórzach między mchem i wrzosem, albo też między kamieniami; dorasta 1 stopy długości. Mniéj u nas pospolite źmije są: *Zygzak* tak nazwana, że wzdłuż grzbietu idzie linia ciemna, zygzakowato pogięta, a w zagięciach leżą małe ciemne plamki. *Żmije czarne i żebrowane* są u nas rzadkiemi, częściéj się przytrafiają w Niemczech i Anglii. Wszystkie te źmije są bardzo jadowite, aim lepiéj mogą objąć swemi zębami ciało, i głębiéj je zapuścić mogą, tém ukąszenie jest niebezpieczniejsze. Ranę przez źmiję zrobioną, ledwie można dostrzedz gołém okiem, wygląda ona jak zakłócie szpilką. Zaraz po ukąszeniu miejsce zranione puchnie i bardzo boli, wkrótce następuje nieczułość i sparaliżowanie. Czasem w 5 minut już następuje ekli-

wość i womity. Po 24 i 48 godzinach, pokazuje się znaczna nabrzmiałość, i mocna febra. W ogólności ukąszenie w czasie gorącym jest niebezpieczniejszém, i często śmierć sprowadza, jeżeli wcześnie nie zaradzono. Szczególniéj źmija *zygzak* ukąszeniem swém okropne sprawia skutki. Dla przestrogi przytoczymy tu przykład strasznych skutków z ukąszenia téj źmii wynikłych.

Dziewczyna 16-letnia, córka wyrobnika, w księstwie Altenburgskiem, poszła w czasie żniw do poblizkiego lasu po trawę, i nieszczęściem nastąpiła na źmiję, która ją ukąsiła w nogę, na wierzchu, tuż nad wielkim palcem. Po tém ukąszeniu pozostały dwie ranki, nie większe od ukłócia szpilką.

Nieszczęśliwa dziewczyna w minutę po ukąszeniu padła zemdlona na ziemię, porwały ją womity, i tyle tylko miała przytomności, że zawołała do towarzyszki swojéj: źmija mnie ukąsiła. Ta do niéj przybiegła, związała nogę nad raną, i pobiegła do wsi po pomoc. Nadbiegli ludzie, znaleźli już dziewczynę całkiem osłabłą i bez przytomności, zawieźli ją do domu, gdzie w pół godziny bez spuchnienia nogi, bez oznak i kurczu, przy ciągłém i spokojném oddychaniu, życie zakończyła. To wszystko trwało 5 kwadransów. Po śmierci oba znaki ukłócia nieco zczerniały, i nic więcéj na całém ciele nie spostrzeżono.

Jeżeli w nieszczęsnym razie ukąszenia przez źmiję nie można mieć natychmiast pomocy lekarza, dobrze będzie wymyć ranę i wytrzeć mocno wodą z miałkim piaskiem, lub solą; unikać wszelkich rozpalających napojów; po wymyciu położyć się spokojnie, a miejsce zranione obmywać ogrzaną oliwą i okładać ciepło rzadkiém ciastem z mąki i wody. Dobrze będzie dla wzbudzenia potów, pić ziółka z melissy, bzu lub rumianku. Na pokarm używać tylko rzeczy mało pożywnych, lekkich klejków, za napój czystą wodę lub mleko.

Zawsze jednak unikając niebezpieczeństwa, rady lekarza zasięgać należy. Tak straszne gadziny mają jednak swych nieprzyjaciół, którym ich ukąszenia nie szkodzą; do takich należą niektóre sokoły, sójki, kruki, bociany; tudzież tchórze, świnie, jeże i borsuki.

Szczególniej wężami jadowitemi w krajach gorących są: *Wąż Okularnik* długi przeszło 3 łokcie, a gruby na 2 cale. Nazwisko jego pochodzi od fałdu brunatnego w tyle głowy na szyi, mającego kształt okularów. Ten straszny wąż żyje w Azyi, a głównie w Indyach Wschodnich, gdzie nawet w domach ludzie od niego nie są bezpieczni. Spostrzegłszy swego nieprzyjaciela, wspina się do góry, nadyma ów fałd na szyi, z iskrzącemi oczyma skacze na nieprzyjaciela, i kąsa go wystającemi jadowitemi zębami. Wtedy już zginęła nieszczęśliwa ofiara; miejsce ukąszone puchnie, zmienia kolor, puchlina rozchodzi się po całem ciele, pociąga za sobą mdłości, konwulsye, ściśnienie gardła, a nareszcie śmierć w kilka minut po ukąszeniu. Jakkolwiek okularnik jest niebezpieczny, kuglarze indyjscy robią z wężami różne zabawki, to jest: każą im w takt tańczyć, za skinieniem ręki rozciągać się i zwijać, i inne podobne rzeczy. To wszystko wykonywają bez żadnego niebezpieczeństwa, gdyż poprzednio wyrwano wężowi zęby jadowite, dając mu do gryzienia kawałek grubego płótna. Indyanie trucizną tego węża napuszczają strzały, które przez to równie niebezpieczne zadają rany, jak samo ukąszenie węża.

Drugim niebezpiecznym wężem zagranicznym jest *Grzechotnik ogromny*, nazwany dlatego, że jego ogon kończy się kilką obrączkami, które za poruszeniem podobny wydają szelest, jak suchy pęcherz grochem nasypany. Zdaje się, że Opatrzność naznaczyła tę gadzinę dla przestrogi ludzi i zwierząt, aby się miały na baczności za jéj zbliżaniem. Grzechotnik bywa na 4 łokcie długi, kolor ciała na spodzie żółtawy, a na wierzchu jasno-brunatny, ciemno poplamiony. Żyje w północnéj Ameryce; rozdrażniony zwija się w pierścienie, rzuca się na zdobycz, jak strzała, kąsa, i śmiertelnym jadem zatruwa. Ukąszenie to z początku tyle jest dokuczliwe, co osy, lecz wkrótce rana puchnie i sinieje; jad rozchodzi się po całem ciele, następują mdłości, a często we trzy godziny śmierć. Świnie zjadają grzechotników bez szkody. O tym wężu mówiono, że wzrok ma tak przerażający, iż zwierzęta i ludzi, na których spojrzy, do tego stopnia wprawia w osłupienie, iż te nie uciekają, a drobne ptaszki same mu do paszczy wpadają. Doświadczenia jednak okazały mylność tego przesądu; sikora umieszczona w klatce z grzechotnikiem, spokojnie go po grzbiecie dziobała.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa d. 12 (24) Kwietnia 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*